Bitwa o straszny dwór

(WSPOMNIENIA FRONTOWE)

NA froncie różnie bywa. Raz my dostajemy w skórę, potem sami dajemy wrogowi porządnego łupnia. Najważniejszy jest ostateczny wynik — kto wygra w końcowym etapie.

* * *

W dniu 11 lutego, nazajutrz po sławnym rajdzie pancernym „westerplatczyków" i zdobyciu Mirosławca, moja bateria artylerii pułkowej kalibru 76 mm 1 Praskiego Pułku Piechoty zajęła stanowiska ogniowe na niewielkim wzgórzu, w odległości około dwóch kilometrów za tym miastem, przy szosie wiodącej do dużej wsi — Łowicz Wałecki.

Przed nami, w odległości około 100 m, zajęli swoje stanowiska ogniowe piechurzy z 3 batalionu naszego pułku. Sytuacja była niejasna. Nie mamy pojęcia, gdzie teraz znajdują się pozycje obronne hitlerowców, którzy przed paru godzinami zostali wypędzeni z Mirosławca. Możliwe, że oderwali się od nas o parę kilometrów lub też przyczaili się w następnej wsi albo za najbliższym wzgórzem.

Promienie wschodzącego słońca z trudem przebijają się przez gęstą poranną mgłę i z mroków nocy powoli wyłaniają się zarysy otaczającego nas pola walki.

— Obywatelu chorąży — melduje mi czuwający kpr. Broniecki — dzieje się coś niewyraźnego. Od dłuższego czasu słychać dochodzące z przodu podejrzane odgłosy, niby warkot silników i okrzyki komend. Tylko nic nie widać, gdyż gęsta mgła utrudnia prowadzenie obserwacji.

— Pójdę bliżej z kanonierem Liberdą i postaram się rozpoznać, co to za jedni — swoi czy hitlerowcy — zgłasza się plut. Tarnawski, mój zastępca dowódcy plutonu do spraw politycznych. I po chwili wyruszają na rowerach w podejrzanym kierunku, jadąc pod osłoną drzew przy szosie.

Po kilkunastu minutach meldują mi w podnieceniu:

— Przed nami, z lewa na prawo, ciągną duże kolumny wojska. To hitlerowcy, byliśmy w pobliżu nich.

Pada komenda „do boju" — i obsługi dział przygotowują swoje armaty do prowadzenia ognia artyleryjskiego. Jednak gęsta mgła w dalszym ciągu utrudnia nam wykrycie i obserwowanie nieprzyjaciela. Po dłuższej chwili, gdy widoczność się poprawiła, zauważyliśmy na przeciwległym szczycie wzgórza długą kolumnę hitlerowców pospiesznie zdążających w kierunku Łowicza Wałeckiego. Uciekali na północ przed nacierającymi z lewa wojskami radzieckimi.

Jadą samochody, czołgi, tabory i artyleria. Idą całe grupy pieszych żołnierzy, tworząc idealny cel dla naszych dział. Posuwają się w odległości dwóch kilometrów.

Pada komenda — „celownik 40.... ognia!" — i pociski wystrzelone z dział plut. Piwowarczyka i kpr. Bronieckiego padają we wrażej kolumnie. Wśród hitlerowców powstaje zamieszanie. Niektórzy zajmują stanowiska i otwierają ogień w naszym kierunku. Jeden z czołgów także odwraca lufę w naszym kierunku i oddaje kilka pocisków, ale nie wytrzymuje naszego ognia i szybko wycofuje się za najbliższe wzgórza.

Znajdujące się obok dwa działa przeciwpancerne kalibru 45 mm z baterii por. Kiewlicza także otwierają celny ogień. Piechocińcy dołączają się ze swym ogniem z broni ręcznej i maszynowej. I po pewnym czasie cała droga na odcinku około 500 m jest zawalona rozbitym sprzętem hitlerowskim.

Ale i mój pluton ponosi pewne straty. Koło południa plut. Piwowarczyk zameldował mi: gdy ja znajdowałem się przy dziale kpr. Broniec kiego, mój zastępca plut. Tarnawski i celowniczy st. bomb. Suchocki wraz z paru piechocińcami zostali zwerbowani jako desant przez kilku czołgistów, którzy samorzutnie postanowili zrobić wypad na znajdujący się za małym laskiem, w dolinie, Łowicz Wałecki i... zdobyć go.

Lecz nie powiodło się moim artylerzystom. Po paru minutach oba czołgi zawróciły, a na jednym z nich znajdowały się ciała plut. Tarnawskiego i st. bomb. Suchockiego. Zostali zabici celnymi strzałami przez ukrytego przed wsią hitlerowskiego snajpera.

Nazajutrz 12 lutego, 3 batalion 1 pułku piechoty śmiałym atakiem zdobywa wieś Łowicz Wałecki. Pod wieczór wkraczamy do wsi i zajmujemy stanowiska ogniowe na jej przedpolu, w

Kmdr por. Tadeusz Rutkowski

kierunku na folwark Mazanowo.

* * *

FOLWARK Mazanowo znajdujący się w odległości około 3 km na północ od wsi Łowicz Wałecki, szczególnie krwawo zapisał się w dziejach walk 1 Praskiego Pułku Piechoty, prowadzonych na Wale Pomorskim.

Obronę tego folwarku, zajmującego poważną pozycję w systemie obrony hitlerowskiej na północ od Mirosławca, umożliwiało jego bardzo wygodne położenie. Wyobraźmy sobie duży stok wzgórza do połowy zarośnięty lasem i najeżonego artylerią oraz różnymi punktami ogniowymi. U jego podstawy — duży murowany folwark, umocniony bunkrami, okopami i otoczony — niby wałami — kopcami ziemniaków. Przed folwarkiem rozciągał się duży szmat odkrytego pola, pochyło schodzącego do naszej obrony.

Takie położenie ułatwiało hitlerowcom prowadzenie dokładnej obserwacji i ostrzału naszych pozycji obronnych. A ich strzelcy wyborowi, ukryci w bunkrach, pomiędzy kopcami ziemniaków i w lesie, nieustannie ostrzeliwali najmniejszy choćby ruch naszych żołnierzy.

Pomimo tak wygodnych pozycji hitlerowskich, nasz batalion kilkakrotnie wykonywał krwawe ataki w celu zdobycia Mazanowa. Jednak — jak na razie — bez skutku. Osiągnięcie pożądanych wyników utrudniało także duże wykrwawienie się kompanii strzeleckich. Przecież od samych Podgai prowadziliśmy nieustannie krwawe walki, a uzupełnienie na razie jeszcze nie nadeszło. W drugiej połowie lutego kompanie strzeleckie liczyły po 15 — 25 ludzi. Ale kościuszkowcy nie zniechęcali się. Mazanowo — niby straszny dwór — nie dawało nam spokoju.

W dniu 16 lutego dowódca batalionu kpt. Podleśny znowu organizuje natarcie na Mazanowo. Uzupełnia z taborów i jednostek tyłowych przerzedzony stan kompanii strzeleckich i przy wsparciu 5 dział pancernych i krótkim przygotowaniu artyleryjskim piechocińcy z głośnym „hurra" ruszają do ataku.

Atak naszej piechoty był brawurowy i skuteczny. Po zażartej walce Mazanowo zostaje zdobyte. Do niewoli wzięto kilkudziesięciu hitlerowców, prawie tylu, ilu było naszych piechurów atakujących w pierwszej linii. Pomiędzy jeńcami wykryto także owego snajpera, który poprzednio tak skutecznie ostrzeliwał nasze pozycje. Był sudeckim Niemcem i w swej książeczce snajperskiej miał zanotowanych 102 zabitych.

Nasze dwa działa — plut. Piwowarczyka i kpt. Bronieckiego — także bezpośrednim ogniem wspierały atak piechurów. Przesuwamy je do przodu i zajmujemy stanowiska ogniowe w pobliżu Mazanowa, pomiędzy kopcami ziemniaków. Wiemy, że jesteśmy dokładnie obserwowani przez hitlerowców znajdujących się za folwarkiem — na stoku wzgórza. Już nas macają. Miny z hitlerowskich moździerzy padają wokół nas. Ale pocieszamy się, że zbliżający się mrok ukryje nas przed zbyt natrętną obserwacją przeciwnika.

Tymczasem zbliża się wieczór. Szary mrok zaczyna otulać nasze nowe stanowiska ogniowe. Działa pancerne wystrzelały cały zapas amunicji. Muszą ją uzupełnić, więc z jazgotem gąsienic powoli wycofują się do tyłu. Piechocińcy także wyczerpali prawie cały zapas swych naboi. I w tym czasie zrywa się piekielna strzelanina. Hitlerowcy wykonali na folwark Mazanowo bardzo silne uderzenie ogniowe z różnego rodzaju dział i broni maszynowej. Snopy rakiet zaczęły oświetlać wieczorny mrok i piechota hitlerowska wściekle strzelając z automatów wyskoczyła z pobliskiego lasu do kontrataku na Mazanowo.

Trzeba przyznać, że nie spodziewaliśmy się tak szybkiego i silnego uderzenia hitlerowców i nasza piechota zmuszona była wycofać się na poprzednio zajmowane stanowiska ogniowe.

Bezpośrednie odpieranie ataku nacierających hitlerowców spadło teraz na działo plut. Piwowarczyka, przy którym ja — jako dowódca plutonu — także w tym czasie się znajdowałem. Postanawiamy aktywnie się wycofywać. Właśnie przed nami biegnie grupa hitlerowców, która z daleka krzyczy „Hände hoch", lecz celowniczy kanonier Sulikowski szybko odpala parę pocisków. Słychać jęki rannych, a my pospiesznie wycofujemy działo o kilkaset metrów.

Znowu komenda „do boju" i znowu seria pocisków do nadbiegających w mroku i wrzeszczących hitlerowców.

Zmieniając tak kilkakrotnie, co paręset metrów, stanowisko ogniowe działa, po kilku godzinach wyczerpującej walki zbliżamy się do swoich poprzednich stanowisk ogniowych. Dowódca baterii, kpt. Sołowiejczyk i pozostałe działony, oczekiwali nas z wielką niecierpliwością.

— No, chorąży Rutkowski, myśleliśmy, że już po was, że hitlerowcy was wykończyli lub wzięli do niewoli — mówi dowódca baterii.

(Dokończenie na str. 5)

PRZED PREMIERĄ

RYSZARD I INNI

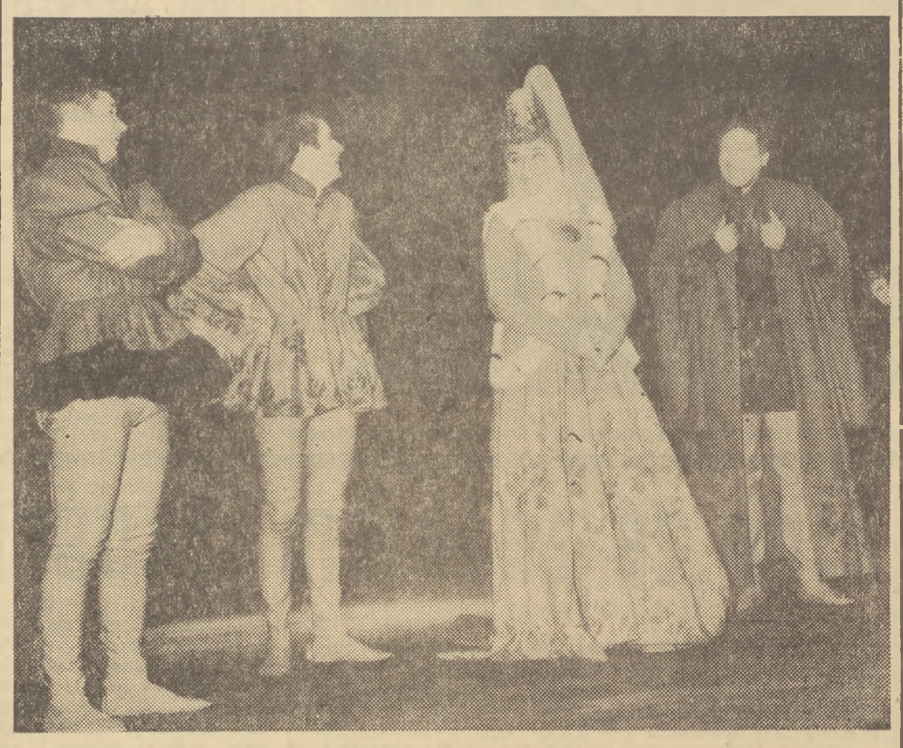

Scena z przedstawienia „Ryszard III" Fot. Z. Kosycarz

Ryszard jest kilkunastoletnim chłopcem, kiedy pojawia się przed nami jako bohater późniejszego dramatu. Nie w tej sztuce, we wcześniejszej. Jest to akt piąty części drugiej „Henryka VI". Szaleje Wojna Dwóch Róż. Młodziutki Ryszard staje wraz z braćmi u boku ojca zbuntowanego przeciw Lancasterom, którzy nieprawnie zagarnęli niegdyś tron Ryszarda II. Dla rodu Yorków król Henryk VI jest uzurpatorem, a przywrócenie potęgi Białej Róży — prawem dziedzictwa historycznego. Ryszarda edukuje pole bitwy, krew i śmierć. Jest odważny, zuchwały, waleczny. Jest zaciekły i konsekwentny, bystry i inteligentny. Inteligent niejszy od starszych braci. Wkrótce, w zmiennych kolejach wojny, dojrzeje na tyle, by podsuwać sposoby walki i polityki własnemu ojcu. Zaczyna oceniać świat i otaczających go ludzi.

Jego brat Edward to hablarz i mazgaj. Na wieść o śmierci ojca zalewa się łzami.

„Płacz zmniejsza ludzkich boleści głębiny;
Niech dzieci płaczą, lecz ja zemsty szukam"

— oto reakcja Ryszarda. Wkrótce przeżyje on jeszcze śmierć małego brata Rutlanda, zamordowanego na rozkaz królowej Małgorzaty. Lekcję uzurpatorstwa, bezwzględności, zdrady, mordu i okrucieństwa ma już poza sobą. Później przyglądać się będzie, jak ich własne, Yorków, zwycięstwo rozcieńcza ja krótkowzroczna polityka i słabości ukoronowanego brata. Wtedy wyciągnie wnioski. Tylko korona może zaspokoić jego namiętności — jego, upośledzonego przez naturę, szpetnego, ułomnego, którego nie może kochać kobieta. Na razie wciąż czeka i — planuje. „Słucham i milczę, lecz tym więcej myślę" — mówi Ryszard, książę Gloucester. Jest to część trzecia „Henryka VI".

Jeśli okoliczności, dzieciństwo, przykład otoczenia i powszechna atmosfera kształtują istotnie człowieka, wzorce Ryszarda mogą mu posłużyć za usprawiedliwienie.

Idźmy dalej. Oto już rozpoczęła się nasza sztuka, „Ryszard III". Spróbujmy zatytułować ją tym razem inaczej: „Ryszard i inni". Znamy już akt oskarżenia, znamy zbrodnie Ryszarda. Zobaczmy, co przeciw tym zbrodniom, co przeciw Ryszardowi przedsięwzięli ci, którzy uzurpują sobie miano ofiar. Zajmijmy się innymi bohaterami.

Oto król Edward, który gładziutko przełknął wymyśloną przez Ryszarda wróżbę o grożącej mu literze

(Dokończenie na str. 5)

RYSZARD zgładził starszego brata, Jerzego księcia Clarence, ponieważ ten mógł być pretendentem do korony po najstarszym Edwardzie. Przyspieszył zgon króla Edwarda. Z jego rozkazu oprawcy udusili obu małych synów Edwarda, ewentualnych następców tronu. Jemu zawdzięczał śmierć w Tower sędziwy Henryk VI, a i syn Henryka, ostatnia nadzieja Lancasterów, padł z jego ręki. W bliżej nie wyjaśniony sposób pozbył się Ryszard żony Anny; tę śmierć zresztą przepowiedział głośno. Potem, już w majestacie purpury, mordował kolejnych wielmożów, którzy mu służyli: Grey, Rivers, Hastings, Buckingham — długa lista ofiar o znanych nazwiskach. Był najbardziej krwawym tyranem na tronie Anglii i jednym z największych morderców wśród władców tego świata. Tak go ukazali potomnym elżbietańscy kronikarze, Polydore, Hall i Holinshed i tak nam przekazały następne pokolenia historyków. Tak też zobaczył go Szekspir.

Minęło blisko pięćset lat od śmierci Ryszarda. I oto jawne znaki na niebie historii zdają się wskazywać, że przez te pięćdziesiąt lat tkwiliśmy w błędzie. Działające dziś w Londynie Towarzystwo Rehabilitacji Pamięci Króla Ryszarda III, opierając się na najnowszych badaniach historycznych, stwierdzają, iż wszystkie zbrodnie przypisywane dotąd Ryszardowi (a nawet więcej) są dziełem jego pogromcy i następcy, tego, który położył kres Wojnie Dwóch Róż, pierwszego z dynastii Tudorów, Henryka VII księcia Richmond. Tego właśnie, który w finale dramatu Szekspira pojawia się jak anioł — czysty i niosący gałązkę oliwną pokoju i sprawiedliwości.

Fakt ten, przyznacie, wart jest chwili zadumy. Zadumy, powiedziałabym, optymistycznej. Jest w nim coś sprzyjającego łagodzeniu kompleksu pokory, jaki my, prostaczkowie, skłonni jesteśmy pielęgnować w sobie wobec powagi nauki zwanej historią. Niewątpliwie pocieszająca wydaje się również myśl, że ostatecznie zawsze można się jakoś doczekać rehabilitacji.

Wróćmy jednak do Szekspira. Jakaż to ulga zejść z gruntu historii i zanurzyć się w ów byt samoistny, ja-

Róża Ostrowska

kim jest dzieło sztuki, jakkolwiek by powstało: zgodnie, wbrew czy obok interesów dynastii. Tu jedynym wymaganym dowodem na prawdziwość jest siła kreowania, a brak jednej prawdy bezwzględnie obowiązującej — warunkiem trwałości. Szekspirowski Ryszard III żyje nie tylko z absolutną nonszalancją wobec tożsamości swego historycznego prototypa. Szekspirowski „Ryszard III" żyje, ponieważ pokolenia mogły i mogą wciąż na nowo wpisywać weń różne swoje mity. Ryszard — diabeł, zbuntowany przeciw boskim prawom i harmonii natury. Wcielenie machiavellowskiego Księcia. Romantyczny demon zła. Patologia tyranii. Ludzka twarz Wielkiego Mechanizmu Władzy. I znów od nowa, od początku. Właśnie w swojej wielości znaczeń i interpretacji dramat sprawdza się jako wartość niezmienna, w której człowiek wciąż próbuje dostrzec i poprzez którą określić swoje własne, ludzkie doświadczenie i doświadczenie swojej epoki.

Znaleźliśmy się w świecie truizmów? A tak, nie mnie o tym przekonywać. Pióro tak jakoś głupio się ślizga i do powtórek z oczywistości prowadzi, a tu by trzeba rzeczowo o premierowej sztuce. Ale skoro zabrnęłam już tak daleko, proponuję zabawić się w jeszcze jedno rozważanie. Gdyby tak, po bohaterze historycznym, zrehabilitować z kolei bohatera szekspirowskiego? Ot, na zasadzie próby interpretacji.

NIE POZNANY ZA DNI ŻYCIA

SATYSFAKCJE autentycznych pisarzy bywają problematyczne. Najważniejsze jest oczywiście własne poczucie, że napisało się wartościowe dzieło, a przynajmniej rzecz według osobistego przekonania dostatecznie dobrą. Ale przynajmniej w pewnej mierze zależy też na uznaniu, zwłaszcza że ono wywiera wpływ na zasięg oddziaływania książki. Tymczasem uznanie nie zawsze towarzyszy osiągnięciu: zdarza się, że go w ogóle nie dostrzega. W tym wypadku pisarzowi pozostaje pocieszająca nadzieja, że owoc pracy przeżyje go niejako w utajeniu i przypomni swego twórcę, kiedy on spocznie w ziemi. Czasem po wielu latach.

Tak właśnie przedstawia się sprawa z Aleksandrem Majkowskim. Nie doczekał on nawet tej radości, jaką daje wzięcie do ręki wydanego głównego dzieła swego życia. Umarł równo przed 30 laty, 10 lutego 1938 r. w Gdyni, pochowany w Kartuzach. Powieść „Żëce i przigodë Remusa" po raz pierwszy ukazała się w całości na wiosnę 1939 r. Rozgłosu autorowi nie przyniosła.

Majkowski żył i działał w okresie szczególnie trudnym, w środowisku słabo wówczas rozwiniętym i znajdującym się pod silną presją germanizacyjną. W drugiej połowie ubiegłego wieku i w początkach bieżącego potęga zwycięskich w wojnach i świeżo zjednoczonych Niemiec ciągle rosła. Wydawać się mogło, że niewielki i ubogi kraj kaszubski, już zresztą dość znacznie nasiedlony kolonistami, nie potrafi ocalić swej narodowej przynależności. Rodzima inteligencja i warstawa przywódcza była nieliczna i przybywało jej bardzo powoli, znacznie wolniej niż wysoko kwalifikowanych kadr niemieckich, które ponadto miały oparcie w jedynym wielkim na tym terenie mieście, Gdańsku, stolicy prowincji.

W tych warunkach działacze kaszubscy musieli brać na siebie wiele obowiązków naraz, pracować jednocześnie na kilku odcinkach, aby sprostać wciąż rosnącym zadaniom i trudnościom. Za tę przymusową wielostronność płacili wysoką cenę: rezygnacją z możliwości swych talentów, które mogłyby w pełni owocować tylko wtedy, gdyby nie musiały się rozpraszać w nieustannej walce dnia.

Primum vivere... Otóż żaden z pisarzy i działaczy kaszubskich nie posiadał własnych stałych środków, które by mu pozwalały na spokojną egzystencję i koncentrację na pisarskiej pracy. Mowy również być nie mogło, aby dało się z tej pracy żyć. Majkowski w Niemczech i Szwajcarii zrobił studia medyczne. Zawód lekarza dawał mu podstawę utrzymania, ale oczywiście konieczna praktyka znacznie uszczuplała jego czas.

Z zamiłowania i temperamentu był niewątpliwie pisarzem, wpierw poetą, a potem (i głównie) prozaikiem. Jednakże te dwie dziedziny nie wyczerpywały jego działalności. Już chociażby jako pisarz kaszubski musiał wejść w politykę, stanąć do walki narodowej z programem odparcia naporu niemczyzny i rewindykacji kaszubskich obszarów utraconych, z Gdańkiem na czele. Działalność polityczna nie mogła się obejść bez działalności społecznej, a zatem także organizacyjnej. Pole aktywności stale się rozszerzało, w miarę wchodzenia w las przybywało drzew.

Spotkania, zjazdy, konferencje, konsultacje, szeroka korespondencja. Nie nasze czasy wymyśliły te uciążliwości, od których nie jest — i nigdy nie był — wolny człowiek naznaczony postawą społeczną, żywo zainteresowany sprawami publicznymi. A chodziło tu o człowieka, który potrzebował spokoju i pewnego odosobnienia, aby rozwijać swe wizje artystyczne i nadawać im kształt. Nie było mu to dane. Kaszuby nie miały organu, który dziś zazwyczaj nazywamy społeczno - kulturalnym. Trud założenia i prowadzenia takiego pisma Majkowski również wziął na siebie. Cała ta rozległa i wielostronna praca odbywała się w warunkach nieustającego i dotkliwego braku środków materialnych, w szczupłym gronie współpracowników, wobec przeciwnika, który rozporządzał środkami praktycznie nieograniczonymi.

Możemy sobie tylko potatzjować, iloma jeszcze dziełami obdarzyłby nas autor „Życia i przygód Remusa", gdyby los okazał się dla niego chociaż trochę łaskawszy.

Jednocześnie jednak nasuwa się inna refleksja, już całkiem konkretna. Do niedawna Majkowskim i jego twórczym życiem interesował się tylko wąski krąg specjalistów oraz nie bardzo szeroki zastęp miłośników literatury kaszubskiej. W ostatnich latach zainteresowanie znacznie wzrosło, do czego przyczyniło się dwukrotne wydanie przez Wydawnictwo Morskie „Remusa" w przekładzie na polski język literacki. Ale za tym pomyślnym faktem nie poszły następne. Dyskusja wywołana ukazaniem się przekładu wniosła niewiele nowego do wiedzy o autorze i jego twórczości. Jedynym od tego czasu istotnym wkładem jest bardzo ciekawy artykuł Damroki Majkowskiej, córki pisarza, pt. „Zarys powstawania „Remusa" A. Majkowskiego, który zamieszczony został w trzecim numerze „Gdańskiego Rocznika Kulturalnego" z ubiegłego roku.

Nikt dotąd — o ile wiem — nie zabrał się do pracy nad obszerną monografią najwybitniejszego, obok Hieronima Derdowskiego, pisarza kaszubskiego. Sytuacja podwójnie dziwna: chociaż jego twórczość nie spotkała się jeszcze z zasłużoną oceną, pozycja Majkowskiego nie ulega wątpliwości i wiadomo, że będzie rosła, a nie malała, więc celowość takiej monografii jest bezsporna; badacz może dysponować obfitością źródeł (co prawda rozproszonych), może korzystać z informacji najbliższej rodziny oraz ludzi, którzy go znali, ponadto może posiłkować się dość znaczną ilością częściowych opracowań i przyczynków już ogłoszonych. Wdzięczne pole popisu.

Gdańskie środowisko humanistyczne nie jest, niestety, liczne i dźwiga na sobie wiele obowiązków. Ale ten obowiązek posiada wysoki priorytet i powinien być wcześnie podjęty. Zepewne przez ośrodek Wyższej Szkoły Pedagogicznej, albo w łonie Biblioteki Naukowej PAN. Może jednak będziemy musieli poczekać, aż powstanie i rozwinie się wejherowskie muzeum literatury, prasy i muzyki kaszubsko-pomorskiej.

Niezależnie od monografii, z całą pewnością trzeba wydać dzieła zebrane Majkowskiego, a także jego obszerną korespondencję, dotąd tylko fragmentarycznie publikowaną. To postulat pod adresem Wydawnictwa Morskiego, które powinno wreszcie roztoczyć aktywną i zorganizowaną opiekę nad tradycją literacką Pomorza. Zwłaszcza że ta tradycja — pomijając jej własną, historyczną wartość — żyje i wywiera korzystny wpływ na literaturę współcześnie powstającą.

(Dokończenie na str. 5)

Rozmowa z Jerzym Sulikowskim

Życie muzyczne Paryża

PARYŻ zawsze przyciągał uwagę twórców i artystów. Jak wygląda współczesne życie muzyczne stolicy Francji? — Na ten temat rozmawiamy z gdańskim pianistą Jerzym SULIKOWSKIM, laureatem I nagrody Międzynarodowego Konkursu Muzycznego w Genewie, adiunktem PWSM, który rok spędził w Paryżu jako stypendysta rządu francuskiego.

— Czytając programy i afisze na słupach ogłoszeniowych — mówi J. Sulikowski — można byłoby powiedzieć, że życie muzyczne współczesnego Paryża jest ogromnie bogate. W niektóre dni odbywa się nawet po kilka koncertów z wybitnymi nazwiskami. Jednak przy bliższym poznaniu zagadnienia dostrzega się ubóstwo programów, zwłaszcza koncertowych.

Orkiestry symfoniczne, nawet te najlepsze, jak „Limoureux" czy Orkiestra Narodowa Radia i Telewizji, w porównaniu z poziomem sprzed lat podupadły. Większość orkiestr boryka się z trudnościami finansowymi. Muzycy są źle płatni, próby bardzo krótkie i źle zorganizowane. Muzycy pracują w kilku orkiestrach, albo w szkołach, lub też uczą prywatnie i lekceważą sobie tę pracę, która nie przynosi im pewnych i stałych zarobków.

Innym ujemnym zjawiskiem jest stały odpływ dobrych dyrygentów z Francji. Orkiestry składają się z doskonałych muzyków. Potrafią oni bez próby zagrać najtrudniejszy utwór. Wykonania są jednak bezbarwne, bez interpretacji. Nie najlepiej wyglądają też programy koncertów.

Wielkie nazwiska zawsze ściągają publiczność do sal koncertowych. Na recitale Rubinsteina trzeba wykupić bilety na miesiąc naprzód. Dobrych recitali można wysłuchać w Paryżu rzeczywiście dużo i to jest najciekawsza strona życia koncertowego w tym mieście.

Innym ciekawym przejawem życia muzycznego są koncerty „Domaine Musicale", propagujące muzykę współczesną. Na koncertach tych można usłyszeć dużo ciekawych propozycji zarówno z klasyki XX wieku, jak i z najnowszych poszukiwań muzycznych. Wielkim powodzeniem cieszą się też koncerty zespołu muzyki współczesnej Konstantina Simonowica w radio.

Radio Paryskie OIRT prowadzi bardzo bogatą działalność muzyczną. Ośrodek radiowy posiada wiele pomieszczeń studyjnych, które są przystosowane do przyjmowania publiczności. Zupełnie osobnym rozdziałem życia muzycznego jest program radiowy, zwłaszcza III program Radia Paryskiego na UKF, w którym od rana do wieczora można usłyszeć wspaniałe programy muzyki poważnej, przedzielane raz na godzinę wiadomościami. W obecnej sytuacji życia koncertowego we Francji radio stało się jedną z głównych sił kierujących.

Mało interesującą dziedziną muzyki w Paryżu jest opera. W Operze Paryskiej idzie bez przerwy kilka stałych pozycji z żelaznego repertuaru. Przedstawienia są jednak skostniałe i niecieka we. Rzadko zdarza się nowa ciekawa inscenizacja. Sensacją w minionym sezonie były występy Callas w „Normie". Opera Paryska nastawiona jest przede wszystkim na obsługiwanie turystów zagranicznych, których w Paryżu nigdy nie brakuje, więc w operze zawsze są komplety widzów.

Bez wątpienia ciekawszą jest pod względem repertuarowym Opera Komiczna.

Interesującym szczegółem życia kulturalnego w Paryżu są prywatne imprezy w salonach. Suzanne Roche, u której studiowałem, prowadzi u siebie cykl koncertów abonamentowych, odbywających się co miesiąc pod nazwą „Godzina muzyczna na Montmartrze". Na koncertach tych występują młodzi utalentowani artyści, którzy nie zawsze mają możliwości nawiązania kontaktów z impresariami.

Polska muzyka dociera do Paryża prawie wyłącznie za pośrednictwem radia. Mało jest okazji do usłyszenia utworów kompozytorów polskich na koncertach symfonicznych. Mało też polskich solistów i dyrygentów występuje w Paryżu, mimo że są tam wysoko cenieni. W okresie mego pobytu w Paryżu był tylko raz Andrzej Markowski. Wystąpił wprawdzie także Henryk Czyż, ale dyrygował w radio koncertem zamkniętym.

Wydaje mi się, że stałe obniżanie poziomu i komercjalizacja życia artystycznego w Paryżu są wynikiem niedofinansowania ze strony państwa.

Paryż pozostaje jednak miastem, gdzie muzyk wiele może nauczyć się. Po rocznych studiach u profesorów Konserwatorium Paryskiego, Vlado Perlemutera i Suzanne Roche, wziąłem udział w Międzynarodowym Konkursie Muzycznym, zdobywając I nagrodę w kategorii fortepianu. II nagrodę w tym konkursie zdobył pianista z Gujany Brytyjskiej, uczeń Konserwatorium Paryskiego. Laureatka III nagrody, Chinka z Formozy, była również uczennicą tego konserwatorium. Konkurs genewski był więc triumfem szkoły francuskiej.

Rozmawiał:

R. GOJŻEWSKI

FILMY TYGODNIA

>Nagie godziny< >Mój przyjaciel delfin<

„NAGIE godziny" to włoski film o miłości, niespodziewanej, krótkotrwałej i zakończonej tragicznym akordem, a także subtelna opowieść o kryzysie uczuć w pewnym małżeństwie. Scenariusz filmu opracowany został według noweli pisarza Alberto Moravii i przy jego współudziale.

W luksusowej willi, malowniczo położonej nad morzem, przebywa samotnie młoda i piękna żona wziętego architekta z Mediolanu. Intuicyjnie wyczuwa, że od pewnego czasu coś, mimo zachowywanych pozorów szczęścia, zaczyna się w ich małżeństwie psuć. Mąż pochłonięty sprawami zawodowymi i robieniem pieniędzy nie zdaje sobie sprawy z tego, że zbytek jakim otoczył Carlę i jego weekendowe przyjazdy z gronem przyjaciół nie zastąpią jej czułości i wzajemnego zrozumienia. Kobieta dochodzi do wniosku, że ich wspólne dotychczasowe 5-letnie pożycie było w sensie uczuciowym jałowe. Pewnego dnia poznaje przypadkowo przebywającego na wakacjach w sąsiednim miasteczku studenta. Rodzi się między nimi to, co zostało zagubione w małżeństwie Carli — wielka spontaniczna miłość.

Rossana Podesta w roli Carli w filmie „Nagie godziny" Fot. CWF

Film jest debiutem reżyserskim byłego aktora, a następnie producenta filmowego **Marco Vicario**. Przedstawiony poza konkursem na festiwalu w Wenecji w 1964 roku film uznano za

L. KOSYCARZ

utwór ambitny. W „Nagich godzinach" uwagę zwracają przede wszystkim wyczucie reguł nowoczesnej reżyserii i znakomita pod względem malarskiej kompozycji praca kamery (Carlo Di Palma). Akcję skonstruowano na zasadzie przerywników retrospekcyjnych. Trochę nerwowy montaż odpowiadać ma skomplikowanym stanom psychicznym bohaterki, obrazuje jej wahanie, rozterki, zmienność nastrojów. Bardzo współczesny w formie jest oszczędny i klarowny dialog. W klimacie opowieści, w wymowie zawartego w niej problemu, doszukać się można analogii ze słynnymi filmami Antonioniego, mówiącymi o zgubnym wpływie tempa współczesnego, wysoko cywilizowanego życia na trwałość i szczęście związków ludzkich. Tę liryczną, nastrojową psychologiczną etiudę śledzi się z prawdziwym zainteresowaniem również i dla kreacji aktorskich. W rolach głównych występują: Rossana Podesta (w życiu prywatnym żona reżysera Vicario), amerykański aktor Keir Dullea i Phillipe Leroy.

* * *

FILMY o zwierzętach cieszą się dużym powodzeniem, zwłaszcza wśród młodzieży, do której ze względów poznawczych, jak i dydaktycznych są głównie adresowane. Toteż na brak frekwencji nie będzie narzekał barwny, amerykański film przygodowy reżysera **Jamesa B. Clarka** pt. „Mój przyjaciel delfin". Mówi on o historii wzruszającej przyjaźni 12-letniego syna rybaka z ocalonym przezeń od śmierci delfinem. O inteligencji i mądrości tych łagodnych morskich ssaków mówi się coraz więcej, znane są liczne przypadki udzielania przez nich pomocy rozbitkom; życie ich stanowi zresztą przedmiot badań naukowych.

Głównym aktorem w filmie J. B. Clarka jest młody delfin, Mitzie, wypożyczony na okres kręcenia zdjęć z akwarium na Florydzie, zajmującego się hodowlą i tresurą tych zwierząt. Popisuje się on tu nieprawdopodobnie zmyślnymi sztuczkami — tańczy walczyka, śmieje się, aportuje różne przedmioty, skacze przez przeszkody, pozwala się ujeżdżać, naprowadza na ławice ryb, walczy z rekinem itp. I to jest właśnie główną atrakcją całej opowieści. Delfinowi partnerują głównie dzieci, zachowujące się przed kamerą naturalnie i szczerze, a wśród nich uroczy piegusek Luke Halpin, jako wybawca i opiekun Mitzie - Flippera.

Warto wspomnieć, że autorem muzyki do tego filmu jest jeden z najpopularniejszych przed wojną w Polsce kompozytorów muzyki rozrywkowej Henryk Wars. Ilustracja muzyczna do „Mojego przyjaciela delfina" utorowała mu drogę do stałej współpracy z amerykańską kinematografią.

BŁYSKAWICZNY KONKURS DLA DZIECI

Przygotowujemy sobie kartkę czystego papieru, nożyce, klej i zabieramy się do zabawy. Wycinamy zamieszczone niżej skrawki rysunku, a następnie naklejamy je na przygotowany poprzednio papier tak, aby odtworzyć cały obrazek. Gotowe rozwiązanie wkładamy do koperty i wysyłamy, w terminie do dnia 14. II. br. (decyduje data stempla pocztowego), pod adresem: Redakcja „Głosu Wybrzeża" — Gdańsk, Targ Drzewny 3/7. Na kopercie umieścić należy dopisek: „Konkurs błyskawiczny".

Wśród wszystkich, którzy w oznaczonym terminie nadeślą prawidłowe rozwiązania, rozlosowana zostanie jedna z następujących nagród: teczka-aktówka, aparat fotograficzny „Druh", zabawka automatyczna, lub komplet narzędzi do majsterkowania. Każdy ma prawo napisać, którą z tych nagród sobie życzy. W wypadku braku takiego dopisku o przyznaniu nagrody decyduje redakcja.

Ponieważ nasze rysunki zawierają hasła propagujące higienę zdrowia, Wojewódzka Stacja Sanitarno-Epidemiologiczna ufundowała dodatkowe nagrody. Tym razem losowana będzie piłka skórzana.

Nagrodę redakcji za ubiegły tydzień wylosowała Danuta JANKOWSKA z Rumi ul. Starowiejska 51. Zgodnie z życzeniem otrzyma ona aparat fotograficzny „Druh". Nagrodę San.-Epid. w postaci piłki skórzanej wylosował Jan BAUMAN, zam. Rozpędziny p-ta Sadlinki, pow. kwidzyński. Obydwie nagrody wysyłamy pocztą.

Ryszard i inni

(Dokończenie ze str. 4)

„J" i prędko wysłał na śmierć brata Jerzego, księcia Clarence. To Ryszard zamordował Clarence'a. Lecz już przedtem skazał go Edward. Nikt z otoczenia nie wstawił się za uwięzionym. Ale po jego śmierci wszyscy płoną świętym oburzeniem. Oto klika Ryszarda i klika królowej Elżbiety, nie nawidzące się nawzajem, zjednoczą się natychmiast przeciw zdetronizowanej Małgorzacie, żeby zagłuszyć litanię o własnych występkach. Małgorzata jest pokonana, łatwo wobec niej być odważnym. Oto lord Hastings — będzie służył Ryszardowi, ponieważ ma swoje porachunki z kliką Elżbiety. Oto lord Buckingham — stanie się wspólnikiem większości zbrodni Ryszarda za cenę księstw, obiecanych po małoletnim następcy tronu. Gdy ich nie dostanie, natychmiast odpowie zdradą. Oto lord Stanley — cały czas będzie grał na dwa fronty. Oto komendant krwawego Tower, Brackenbury — dobry Piłat, który umyje ręce.

A kobiety? Anna, której Ryszard zamordował męża i teścia, pójdzie z nim do łóżka. Elżbieta, której zabił brata i wszystkich synów — sprzeda mu córkę. To nobile.

Ryszard jest łotrem z wyboru. Ma odwagę nazwania siebie i swoich czynów. Ci wszyscy inni, uwikłani w zbrodnię, szalbierstwa i podłości, przybierają pozy uciśnionych. Nikt nie czuje się za nic odpowiedzialny. Coś na kształt wyrzutów sumienia znają tu tylko najemni oprawcy. Ryszard gardzi swoim otoczeniem — i ma rację.

Jest jeszcze „lud", obywatele. Oni nie tylko komentują akcję, występują również jako jej bohaterowie. Jest tu wielka, farsowa scena wyboru Ryszarda na króla. Ryszard udaje, że nie chce. Obywatele udają, że w to wierzą i że oni chcą, że go o to proszą. Poprzednio, między sobą, wypowiadali się o Gloucesterze i przyszłości nader sceptycznie. Teraz grają wspólnie wielką komedię.

W tej scenie u Szekspira lud nie ma już tekstu. Milcząco więc, biernie, przyzwala, by stało się to, co zostało na górze zaplanowane. Ale Szekspir wziął tę scenę żywcem z kroniki Halla. Obciął tylko kronikarzowi komentarz, co nie znaczy, że nie możemy umieścić go w podtekście:

...„Tak, przeto — mówili ci ludzie — te sprawy to takie gry królów, niby ich sztuki na teatrum, po największej części na podium się rozgrywające, a zwykli ludzie są w nich widzami tylko i mądrzy spośród nich nie wtrącają się do tego, bo ci co wdrapują się tam, gdzie ról swych nie mogą odegrać, tylko przedstawienie psują, a i im samym nic dobrego z tego nie przyjdzie".

Tak więc nikt nie przeszkadza grze króla. Sprawiedliwość — a może tylko śmierć — dosięgnie Ryszarda z góry, lub, jeśli wolicie, z boku. Z ramienia opatrzności, za pośrednictwem anioła - Richmonda.

Tak, wiem. Mimo wszystko rehabilitacja Ryszarda nie powiodła mi się. Nie mogła się powieść. Zbrodnie pozostają zbrodniami, a cudzy występek nie uwalnia od własnej odpowiedzialności. Ale może nie od rzeczy było prześledzić sobie przy okazji współzależności gry królów i gry poddanych. Ostatecznie każda próba interpretacji to tylko pragnienie potwierdzenia swoich ludzkich doświadczeń. Więc jak się uda, to coś potwierdzi i znajdzie oddźwięk w drugim człowieku; a jak się nie uda, to nie potwierdzi niczego. Tertium non datur.

R. Ostrowska

„Wieczór Jednego Wiersza"

Zaczęło się od propozycji: połączyć potencjalnych poetów i wszystkich tych, którym poezja jest droga, z plastykami i miłośnikami plastyki; stworzyć taką płaszczyznę, na której będą mogli się spotykać ci wszyscy, którzy piszą wiersze, jakże często jedynie dla siebie, dla pokrzepienia serca. Z tej, zaproszonej w Klubie Literackim Młodych, iskry, powstał przy pomocy Wojewódzkiego Domu Kultury i plastyków — fundatorów nagród, na razie jeszcze skromny, ale mający zadatki na rozwój, ruch powszechnego poezjowania. Chodzi o imprezę pn. „Wieczór Jednego Wiersza".

Ponieważ inicjatywa znalazła zrozumienie i poparcie wśród artystów-plastyków, możemy rozszerzyć liczbę nagród do trzech równorzędnych. Jednocześnie zmodernizowaliśmy warunki udziału w „Wieczorze Jednego Wiersza", na który należy przesłać TYLKO JEDEN WIERSZ, zdaniem autora najlepszy. Wiersz ten należy przesłać pod adresem: Wojewódzki Dom Kultury w Gdańsku, ul. Korzenna, z dopiskiem na kopercie: „Wieczór Jednego Wiersza". Wiersz prosimy podpisać pseudonimem, dołączając w zaklejonej kopercie nazwisko i adres autora. Stworzy to wśród uczestników Wieczoru atmosferę większego niż dotychczas zaufania do jurorów i wyeliminuje ewentualne sugerowanie się tych ostatnich nazwiskiem autora.

Najbliższy „Wieczór Jednego Wiersza" odbędzie się w kawiarni WDK 7 marca br., o godz. 18. Wiersze prosimy przesyłać pod podanym adresem do 29 lutego. Fundatorami nagród będą znani artyści - plastycy z Trójmiasta.

Jednocześnie pragniemy poinformować wszystkich zainteresowanych, że kolejny (trzeci) przegląd piosenek wybrzeżowych kompozytorów, organizowany przez WDK, odbędzie się 29. 2. br., o godz. 18. Nuty i teksty piosenek prosimy składać w klubie WDK do 10 lutego. Klub Literacki Młodych zachęca swoich członków do licznego udziału w tej imprezie.

Chup.

Niepoznany za życia

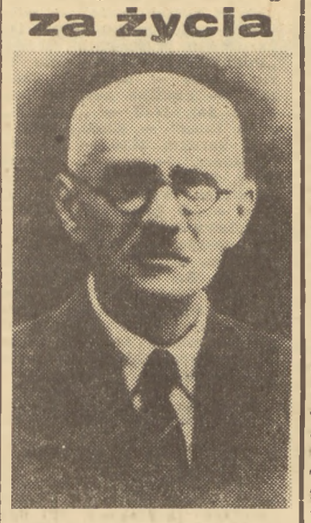

(Dokończenie ze str. 4)

stająca. Świadczy o tym m. in. niedawno wydana nowa powieść Jana Piepki „Szumiące wrzosy".

Trzydziestolecie śmierci Majkowskiego nasuwa wiele myśli. Zarówno o jednostkowym losie pisarza, jak i o przemianach społeczeństwa, z którego wyrósł i któremu służył. W wypadku autora „Remusa" podnieta dla tych myśli jest szczególnie silna. Do niego samego można odnieść słowa z ostatniego zdania tej powieści — **„nie poznany za dni życia"**. Trzydzieści lat od śmierci okazało się okresem jeszcze zbyt krótkim.

Lech Bądkowski

BITWA O STRASZNY DWÓR

(Dokończenie ze str. 4)

— Widać nie tacy oni straszni, obywatelu kapitanie — odpowiadam.

Przez kilka dni krążyła o nas po całym batalionie sława, że jednym działem wstrzymaliśmy dalszy atak hitlerowców. Może i tak?

* * *

28 lutego zostaliśmy zluzowani. Odchodzimy z rejonu Mazanowa i zajmujemy stanowiska ogniowe na północny - wschód od Mirosława. Stąd, już nazajutrz, w dniu 1 marca, ruszamy do dalszego zwycięskiego natarcia na pozycje obronne hitlerowców. W wyniku krwawych walk przerywamy pozycje ryglowe Wału Pomorskiego i okrążając folwark Mazanowo zdobywamy silny punkt oporu wroga — wieś Borujsko, a następnie kontynuujemy pościg za nieprzyjacielem w kierunku Drawska.

Kmdr por. Tadeusz Rutkowski

DIALOG z minionym czasem

CIĄGLE jeszcze w naszej świadomości świeże są wspomnienia z „minionego czasu" ostatniej wojny. I chyba nie wynika to tylko z faktu, że żywa jest wśród nas pamięć o bohaterach — tych z frontu i tych z więzień i obozów. Sprawa jest ciągle bliska naszej świadomości. Mimo iż od zakończenia wojny minęło przeszło 20 lat, ponure myśli wcale nie oddalają się na bezpieczną odległość zapomnienia. Wprost przeciwnie, wiadomości które dochodzą „stamtąd", zza Łaby, znowu przywołują koszmary senne.

Współudział polskiego żołnierza w zwycięstwie nad najeźdźcą hitlerowskim daje naszemu narodowi tę siłę, która wyzwala z obsesji męczeństwa i ofiar. Ale obiektywne informacje o niebezpieczeństwie uwrażliwiają nasze umysły. Stajemy się czujni. Wynika to nie z obsesji narodowej, ale z obiektywnego biegu wydarzeń w NRF. Trwa więc ciągły dialog — między nami i w nas. Jak to nazwała Stanisława Fleszarowa-Muskat, „dialog z minionym czasem".

Taki też tytuł nosi sztuka telewizyjna popularnej na Wybrzeżu autorki, nagrodzona na konkursie ogólnopolskim I nagrodą. O co w niej chodzi? Młody adwokat (około lat 30) broni z urzędu zbrodniarza wojennego Brauna. Z tym związany jest wyjazd adwokata do Gdańska, dla dokonania wizji lokalnej. Stąd też pochodzi jego rodzina. Wtedy, w czasie wojny, jego matka prowadziła w tym mieście knajpę, a ojciec służył w Wehrmachcie. W knajpie pracował przymusowo Polak — Piotr Sitkowski. Pod koniec wojny mąż Niemki dezerteruje i wtedy żona zamyka go w piwnicy. Tuż przed nadejściem naszych wojsk dezerter zostaje powieszony, a wdowa z synem opuszcza swoje domostwo i ucieka na Zachód. Mieszkanie zajmuje Sitkowski, który zakłada rodzinę. Powiększa się ona wkrótce o córkę (to bardzo ważne, gdyż córka Joasia będzie w sztuce główną osobą dialogu). W piwnicy domu Sitkowski pieczołowicie ukrywa pamiątki rodzinne swoich byłych „chlebodawców" oraz zamurowane rodzinne ich srebra.

Młody adwokat przy okazji swej podróży służbowej załatwia sprawy prywatne — na polecenie matki realizuje rewindykację pamiątek i sreber. Odbywa się to pod nieobecność rodziców Joasi (matka przeżywa swój wielki dzień, chrzcząc wodowany statek), która nie tylko nie jest ciekawa egzotycznego gościa z NRF, lecz wręcz

Bolesław Fac

przeciwnie — naukę geografii gospodarczej przedkłada nad jego towarzystwo.

Adwokat zmuszony jest rozmawiać sam ze sobą przy pomocy magnetofonu. W końcu jednak Joasia daje się namówić na zejście do piwnicy, gdzie w trakcie przekazywania pamiątek rodzinnych i wybijania łomem ściany dochodzi do gwałtownej wymiany zdań, która przeradza się w dyskusję polityczną, z której Joasia wychodzi oczywiście zwycięsko.

Przy okazji młody adwokat odnajduje w makulaturze dowody zbrodni swego klienta, wobec czego nie musi już iść do miejscowego archiwum, co powinien przede wszystkim zrobić każdy szanujący się „tropiciel przeszłości". I to zanim zabierze się do odkopywania rodzinnych sreber.

Jak z tego widać, fabuła sztuki jest dosyć prosta i może wzbudzać kontrowersje. Byłoby jednak niesprawiedliwością, gdybym ograniczył się do jej streszczenia. Jak wynika choćby z tytułu sztuki, autorce nie chodziło o atrakcyjną fabułę, lecz o dialog, w którym starała się zawrzeć problem. Jest to problem postaw ideowych reprezentantów młodego pokolenia dwóch narodów. Młody adwokat przyjeżdża do Polski, by zebrać materiał dla obalenia dowodów winy swego klienta, ale zastana rzeczywistość zmusza go do rewizji swego stanowiska wobec zbrodni. Stanowiska polegającego na beznamiętnym stosunku do sprawiedliwości. W Polsce adwokat z NRF dowiaduje się, że jego klient jest współodpowiedzialny za śmierć jego ojca. Do głosu dochodzą więc także racje osobiste, emocje jednostki. Adwokatowi będzie teraz niezwykle trudno przeprowadzić dowód niewinności zbrodniarza. Na dobrą sprawę — moralnie i psychologicznie uzasadniona byłaby rezygnacja adwokata z obrony Brauna...

Sztukę wystawiła telewizja wrocławska. I wystawiła ją bardzo źle. Jeżeli starałem się streścić fabułę, to upoważniła mnie do tego również realizacja, niezwykle sugestywnie wysuwająca na plan pierwszy akcję. Jakby chodziło o „Kobrę", a nie o sztukę o ambicjach politycznych. Gdyby choć te funkcje odtwórcy wykonywali sprawnie! Tak słabego poziomu reżyserskiego i aktorskiego dawno nie oglądaliśmy w telewizji. Były w przedstawieniu miejsca, które wywoływały śmiech widzów, jak np. scena rozbijania ściany w piwnicy, której młody i zdrowy aktor nie mógł przez dłuższy czas skruszyć. Tak więc śmiało można powiedzieć, że cały problem „dialogu z minionym czasem" został przez zespół wrocławski pod kierownictwem reżysera Ryszarda Witkowskiego spłycony.

Nie mogę tylko jednego zrozumieć: sztuce telewizyjnej jury konkursu ogólnopolskiego, w którym zasiadali również przedstawiciele kierownictwa telewizji, przyznało najwyższą, pierwszą nagrodę. To samo kierownictwo, gdy wróciło do swych zajęć w telewizji, nie umiało się zatroszczyć o to, by nagrodzona najwyższą nagrodą sztuka znalazła właściwą, to znaczy najlepszą oprawę realizatorską. Dziwna niekonsekwencja.

KLUB ze znakiem JAKOŚCI

(Dokończenie ze str. 3)

a wystarczy jedna, żeby podłoga — parkiet wyglądała jak klepisko. Dopiero niedawno robiliśmy cyklinowanie. Kosztowało 1.500 zł! I już śladu po tej robocie nie ma.

— A jak na tych zabawach — obywa się bez awantur?

— Oczywiście! Najczęściej robimy zresztą zabawy bezalkoholowe. I tak już nawet się przyjęło, że gdy nie ma alkoholu, to przychodzi więcej ludzi. Również z sąsiednich wiosek. Dwa tygodnie temu np. na zabawie ZMW było dużo więcej osób niż w ub. tygodniu, kiedy zabawę organizowała LOK, dla zarobku — z wódką.

— Teraz by trzeba jeszcze, żeby wesela odbywały się bez alkoholu — śmieje się Danuta Niedzielska. — Wy — wskazuje na dziewczęta — będziecie wychodziły za mąż już bez wódki.

— W ogóle u nas we wsi zmieniło się. Kiedyś wieczorem trudno było przejść spokojnie, takie panowało chuligaństwo, a dziś jest już zupełnie inaczej.

— I to dzięki klubowi?

— Tak. Bo przedtem, chociaż mieliśmy w tym samym pomieszczeniu świetlicę, nawet dość dobrze wyposażoną, nic się w niej nie działo. Dopiero jak nastał klub, jak wiadomo, że codzień jest tu kierowniczka i to już od 9 rano aż do godz. 21 (jeśli ciekawy program TV to i do godz. 23) zmieniło się. Zamiast chuliganić, i zimą i latem również (nawet większy wtedy ruch, bo dużo młodych przyjeżdża na wakacje pomagać rodzicom) nasza młodzież siedzi w klubie.

— Zatem moje życzenia aby w Skowarczu nadal równie dobrze się działo, aby proporczyk, który odebraliście Mikołajkom Pomorskim pozostał już na stałe u was. Do widzenia.

* * *

A jednak wizyta w Skowarczu nie zakończyła się tym pożegnaniem. Dla samochodu redakcyjnego, mimo zaparkowania w świetle okien klubu, nie okazała się ona bowiem bezpieczna. W czasie gdy tak przyjemnie w klubie toczyła się rozmowa, zniknęła z wozu wandalsko wyłamana antena. Kto to mógł zrobić, jeżeli we wsi uporano się już z chuligaństwem? A może obraz przedstawiony w klubowych rozmowach był nazbyt różowy?

Nieprzyjemnie wracało się do Gdańska. To, co widziałam w klubie, świadczyłoby o ambicjach wsi dobrze. Nawet — bardzo dobrze. Jednak to, co się stało w tymże czasie przed klubem, nie przyniosło jej mieszkańcom zaszczytu. Więc jak tu o Skowarczu pisać?

A jednak wieś i jej klub nie dały za wygraną. Minął zaledwie dzień, a już dwaj młodzi ludzie zjawili się w redakcji, i niemal równocześnie z ich wizytą zadzwonił telefon. To kierowniczka klubu potwierdziła relację chłopców. Sprawcy chuligańskiego wybryku zostali już przez młodzież ze Skowarcza zidentyfikowani. To byli nie miejscowi, ale tacy jedni z Łęgowa, na gościnnych występach.

Z czystym sumieniem zatem stwierdzam: Klubowi „Ruch" w Skowarczu znak jakości słusznie się należy.

Izabella TROJANOWSKA

Notatki

8 LUTEGO

Niemiecki kompozytor Robert Schumann nazwał mazurki Chopina „armatami ukrytymi wśród kwiatów". Dźwięki chopinowskich mazurków istotnie odegrały wielką rolę w mobilizacji uczuć patriotycznych Polaków. Ale ani Schumannowi, ani komukolwiek innemu nie przyszło nawet na myśl, że można używać dźwięków zamiast... armat nie w przenośni, ale dosłownie. Wprawdzie istniał precedens w postaci legendy o zburzeniu murów Jerycha przez dźwięki trąb wszystkich połączonych orkiestr biblijnych Izraelitów, to jednak fakt ten włożony był między bajki. Tymczasem współczesna nauka dowodzi, że nawet największe trele słowicze podniesione do N-tej potęgi mogą się stać groźną bronią.

Jakieś pół roku temu francuska prasa informowała o doświadczeniach z „cudowną bronią", przeprowadzanych w ośrodku badań naukowych w Marsylii. Tą cudowną bronią były baterie gigantycznych... gwizdków. Wibracje akustyczne tych gwizdków mogą mieć — jak twierdziła informacja — skutki niemal równie straszliwe, jak bomba atomowa lub rakieta dalekiego zasięgu.

„W toku prób „gwizdka śmierci" (tak nazwała tę broń prasa francuska), dokonanych w niewielkiej skali w betonowym bloku o wadze 400 kg, jego ściany drżały w posadach, wibracje udzieliły się całej dzielnicy Marsylii, a psy przy akompaniamencie piekielnego wycia pozrywały się z łańcuchów. Protesty mieszkańców położyły kres próbom..."

Minęło przeszło pół roku i oto znowu dowiadujemy się o skonstruowaniu... głośnika, który — według słów amerykańskiego konstruktora Richarda J. Ravasa — ma być „mocniejszy niż największa burza".

Dokładne szczegóły konstrukcyjne tego głośnika nie są znane. Wiadomo tylko, że ten superhypergośnik ma moc 5 tysięcy watów, a jego wymiary nie przekraczają pół stopy sześciennej (stopa — ok. 30 cm). Konstruktor ujawnił tylko to, że współczynnik sprawności głośnika wynosi 90 proc. Oznacza to, że 90 proc. energii wysyłanej przez głośnik zamienia się w drgania akustyczne, podczas gdy najlepsze, stosowane obecnie wzmacniacze mają współczynnik sprawności dochodzący do 60 proc.

„Mimo dość niewinnych pozorów — czytamy w informacji PAP na ten temat — wynalazkiem Ravasa natychmiast zainteresowały się władze wojskowe. Fala dźwiękowa o mocy kilku tysięcy watów może być bowiem sama przez się groźną bronią, gdyż dowiedziono już ponad wątpliwość, że zabija ona nawet bardzo duże zwierzęta, a ponadto może uszkadzać samoloty w locie i, jak twierdzi prasa brytyjska, sprowadzać nawet rakiety z kursu".

Tak więc jesteśmy świadkami narodzin nowej broni wykorzystującej dźwięki normalnie słyszalne i leżące poza zasięgiem odbioru ludzkiego ucha — ultradźwięki czy superdźwięki.

Jednym słowem — decybele zaczynają konkurować z dynamitem. Nie śniło się o tym wynalazcy dynamitu — Noblowi.

Ultradźwięki są już podobno wykorzystywane do różnych niewojennych celów: w medycynie — do kruszenia kamieni nerkowych u chorych na kamicę, co ma zastąpić stosowany dotychczas zabieg operacyjny; w przemyśle — do wiercenia otworów w metalu itd. Wygląda na to, że każdy wynalazek dla dobra ludzkości za jakimś podszeptem złych mocy obraca się jednocześnie przeciwko niej.

Co do mnie, to wolałbym zamiast apokaliptycznego walca wygrywanego na gwizdkach śmierci, albo przekazywanego przez piekielny wzmacniacz Ravasa, słuchać melodii „Gwiżdż, gwiżdż przy robocie", która rozlega się przy pociągnięciu rolki toaletowej, sfabrykowanej w Ameryce, o czym czytałem dawno temu w jednej z informacji prasowych.

Karol Jaworski